

Opuszczamy stan Tamil Nadu i wjeżdżamy do **Kerali**. Zdaniem naszego kierowcy (lokalnego patrioty z Cochin) roślinność jest tutaj bardziej zielona, klimat lepszy, kuchnia smaczniejsza, a wszyscy ludzie uprzejmi i szanujący prawo, ze szczególnym uwzględnieniem prawa drogowego.

Kerala to stan o najmniejszym przyroście naturalnym w całych Indiach, za to o największym współczynniku długości życia, prawie stuprocentowej alfabetyzacji i najwyższym w kraju wskaźniku rozwoju społecznego (HDI - *Human Development Index*). Taka Szwajcaria subkontynentu - choć dokładnie to samo słyszeliśmy ponad dwadzieścia lat temu na Sri Lance. Położenie Kerali na mapie ułatwiało kontakty handlowe ze światem - Europejczycy, w ślad za Arabami, nazywali tę część wybrzeża Indii Malabarem. Nazwa, jak sugerują etymolodzy, jest kontaminacją słowa *male* (oznaczającego w języku drawidyjskim góry) i z arabskim i perskim *bar* (kraj, ziemia, kontynent). Góry faktycznie są (Ghaty Zachodnie), i to od strony oceanu schodzące w dół dość stromo.

Kerala (Malabar) była (i do pewnego stopnia wciąż jest) ośrodkiem uprawy i handlu przyprawami - co ściągnęło tam wpierw Arabów, a pod sam koniec XV wieku Portugalczyków (Vasco da Gama przybił do brzegów Kerali w roku 1498). Po Portugalczykach przyszli na chwilę Holendrzy, a po nich Anglicy (którzy zostali aż do połowy XX wieku). Obecnie wszyscy Europejczycy przybywają dość tłumnie i w pokojowych zamiarach, bo Kerala znana jest ze swoich plaż i dobrze rozwiniętego zaplecza turystycznego - chociaż kultury, zwłaszcza na "unescowym" poziomie, jest tutaj niewiele.

My jednak wjeżdżamy do Kerali od wschodu, przekraczając pasmo Ghatów i eksponując się na kolejny powód do dumy tej części Indii - bioróżnorodność. Różnorodność dotyczy też religii - katolików jest w Kerali procentowo niemal dziesięciokrotnie więcej niż w całych Indiach, co tłumaczy się na niemal polską częstotliwość występowania kościołów po wsiach i miasteczkach.

Jedną z miejscowych atrakcji jest ponad dwugodzinny poranny spacer po lesie w *Periyar Tiger Reserve*. Przygotowania wyglądają bardzo poważnie: eskorta pracowników parku, zakładanie "worków" na stopy,

żeby jakieś stworzenia nie powłaziły do butów i nogawek. Nazwa parku wiele obiecuje (w ramach zarządzania oczekiwaniami powinni zrezygnować z tygrysów w nazwie) - ale ostatecznie z dzikich zwierząt dają się widzieć tylko małpy, spore wiewiórki i (przez krótką chwilę) jeleni. Oprócz tego krowy i bawoły. Rangerzy z dumą pokazują podrapany pień drzewa: "O tutaj są ślady pazurów tygrysa!" (bardziej to wyglądało na "Zdychu, daj no grabki, turystom się powie, że to tygrys"). Z braku słoni pokazuje się nam ich gówienka (a także produkty metabolizmu jeżozwierzy wydatowane co do dnia). W większej obfitości występują ptaki: mignął nam zimorodek i papużka oraz najprawdziwszy ptak drongo (umiarkowanie radosny).

Większą część spaceru uprzykrza megafon znajdującego się w pobliskiej wiosce kościoła. Rozpoznajemy melodię: "Dzięki składajmy Panu Bo-o-gu-u nasze-e-mu. Go-o-o-dne to i sprawiedliwe". W restauracyjnych menu widać, że doszło do tego, że tubylcy zaczęli jeść krowy. Ale tłumaczą, że *beef* w karcie to bawół. Wygląda to na kolonializm w czystej postaci, ale okazuje się, że nie całkiem. Tutejsze chrześcijaństwo za mīt założycielski bierze sobie indyjskie podróże apostoła Tomasza ok. 52 roku n.e. Tutejsze denominacje to potwierdzają (*Saint Thomas Christians* w kilku wariantach), a nawet katolicyzm jest tu nieco inny (*Malabar Latin Catholics*).

Da się też objechać dżipem okoliczne wzgórza herbaciane i podjechać do podnóża gór - ale tak makabrycznymi drogami, że sama jazda staje się sportem ekstremalnym (a Ghaty i tak są nieco zamglone).

Wielce godna polecenia jest natomiast popołudniowa wycieczka stateczkiem po sztucznym jeziorze graniczącym z rezerwatem przyrody. Dały się widzieć słonie, jelenie, dziki i liczna drobniejsza zwierzyna. Tylko wielkich kotów nie było - szkoda, ale trudno oczekiwać, że będą pozować na życzenie. Pracownik parku zapytany, kiedy ostatnio widział tygrysa mówił, że wiele lat temu. Park ma ich na stanie 42 plus jakieś jaguary.

Program kulturalny w miejscowym "gminnym ośrodku kultury" - o dziwo, mało widać bladych twarzy, znacznie przeważają miejscowi (albo turyści krajowi) - obejmował dwa godzinne pokazy. Kathakali to pantomima,

realizowana w akompaniamencie bębnienia i brzdąkania (bardziej w trybie efektów specjalnych niż podkładu muzycznego). Taki teatr dwóch (mocno ucharakteryzowanych) aktorów i dwóch muzyków. Jeden z nich relacjonował na bieżąco akcję sceniczną, ale przy kiepskim nagłośnieniu i kiepskim angielskim większość umknęła naszemu zrozumieniu - historia w każdym razie bardzo krwawa i dramatyczna. W stylu przypomina tradycyjne przedstawienia japońskie i chińskie.

Kalaripayattu to podobno matka wszystkich sztuk walki, wywodząca się z Kerali. Według legendy Parashurama (awatar Wisznu) nauczył się tych technik od Śiwy i przekazał je 21 wybranym guru, aby zanieśli je pod strzechy miejscowym, tak aby ci byli zdolni obronić się przed najeźdźcami. Nie do końca się to udało, ale jednemu z tych guru włączyły się szwendacze i dotarł aż do Chin, gdzie cwani tubylcy skopiowali wszystko w skali 1:1 (i tak powstało to, z czego słynie klasztor Shaolin). Nasz pokaz obejmował zarówno elementy inscenizowanej walki, samoobrony (na przykład jak szalikiem albo kijem załatwić nożownika), ale też popisy akrobatyczne. Podobały się nam zwłaszcza realizowane w ciemności "zabawy z ogniem" w stylu żywych fajerwerków. Na początek i koniec pokazu tradycyjne pokłony dla bóstwa i mistrza: "*Worship the god. Worship the guru.*" Kolejny jest "*Worship the wet pants*" (dla mokrych gaci), ale zanim zdążymy wybuchnąć śmiechem okazuje się, że chodzi o "*weapons*" czyli "broń" - tylko tutejsza angielszczyzna jest dość specyficzna.

Zdecydowanie dotarliśmy "tam gdzie pieprz rośnie". Jest on tutaj uprawiany na skalę przemysłową, podobnie zresztą jak kardamon i kilka innych przypraw. Tylko o porządny cynamon trudno, bo próbują wciskać turystom tańszą, ale znacznie gorszą (a nawet lekko trującą) cassję. Wzgórza porastają krzewy herbaciane, niekiedy również kawa. Plantacje herbaciane, z równo golonymi krzewami, z daleka wyglądają jak jakieś lekko zdziczałe ogrody francuskie. Widuje się również uprawy kauczukowców, pod którymi nasadzone są ananasy - ponoć jedne i drugie potrzebują dużo wody.

Następnego dnia jedziemy do **Alleppey** (czy też, po hinduizacji z końca ubiegłego wieku, Alappuzhy). Miasto ma opinię "Wenecji Wschodu", a

nazwą tą obdarzył je lord Curzon, który na przełomie wieków (XIX i XX) pełnił urząd wicekróla Indii i odkrył w sobie zamiłowanie do rysowania kresek na mapach (bo podział Bengalu na część hinduską i muzułmańską to jego autorski projekt), rozwinięte później niezbyt szczęśliwie w Polsce i Palestynie.

Alleppey jest punktem wyjściowym do eksplorowania labiryntu lagun, kanałów, rzek, starorzeczy i jezior określanego terminem *Kerala backwaters*. System (o łącznej długości 900 kilometrów) pierwotnie służył celom transportowym, a dawne barki zbożowe (*kettuvallam*) pełnią obecnie funkcje pływających hoteli.

Tych hoteli na wodzie (*houseboats*) pływają setki, jeśli nie więcej. Późnym popołudniem szyprowie muszą zacumować przy brzegu, żeby zrobić miejsce rybakom i ich sieciom. Ruch zaczyna się znów od ósmej rano.

Na koniec tego etapu podróży przybywamy do **Cochin** (Kochi). To jedno z większych miast stanu Kerala, i zdecydowanie jego stolica biznesowa. Po raz pierwszy pojawia w źródłach pisanych za sprawą Chińczyków. Otóż gdy nastąpiła dynastia Ming, cesarz Yongle zapragnął uczynić z Chin nie tylko mocarstwo lądowe, ale i morskie. Przedsięwzięto szereg ekspedycji w różne strony świata (o czym traktuje między innymi rewizjonistyczna książka Gavina Menziesa "1421 - rok, w którym Chińczycy odkryli Amerykę i opłynęli świat"), w tym także na wybrzeże malabarskie. Tu Chińczycy zastali skonfliktowane ze sobą dwa miasta, Cochin i Kozhikode. Ponieważ ci z Cochin byli grzeczniejsi, cesarz Yongle osobiście objął ich patronatem i opieką. Minęło lat sto i sytuacja się powtórzyła: Vasco da Gama przyплыł do Indii, wylądował w Kozhikode (1498), gdzie miejscowi przywitali go ręką zgiętą w łokciu i wyciągniętym środkowym palcem (głównie dlatego, że przywiózł marne prezenty dla ich króla). Więc nolens volens Portugalczycy zakumplowali się z tymi z Cochinu - choć akurat zasługę zbudowania pierwszego europejskiego fortu na subkontynencie (*Fort Kochi*) przypisać należy nie da Gamie, tylko innemu Portugalczykowi (Pedro Álvares Cabral).

Centralnym punktem dawnego fortu, czyli de facto starówki, zabudowanej domami kolonialnymi z okresów holenderskiego i angielskiego, obecnie przekształconymi w hotele, ekskluzywne kluby i restauracje jest nadmorski plac Vasco da Gamy.

Nad brzegiem tzw. chińskie sieci rybackie, swego rodzaju wizytówka Cochin - tradycyjny sposób połowu ryb, liczący sobie ponad 700 lat. Aby obsługiwać masywne sieci potrzeba co najmniej 4 osób na raz, więc metoda ta jest sukcesywnie wypierana przez bardziej opłacalne nowoczesne techniki. Technologia i sprzęt są bardzo malownicze, ale nie moglibyśmy pozbyć się wrażenia, że to już raczej demonstracje dla turystów, aniżeli faktyczne rybołówstwo.

Kościół św. Franciszka Ksawerego (najstarszy w Indiach, jeśli nie liczyć dokonań chrystianizacyjnych św. Tomasza, po których ślady archeologiczne są raczej dyskusyjne), zbudowany w roku 1503. Początkowo był tu pochowany Vasco da Gama, zmarły w Kochi na malarię w 1524 roku podczas swojej trzeciej podróży do Indii - po kilkunastu latach ciało przewieziono do Lizbony, gdzie obecnie spoczywa w Klasztorze Hieronimitów. Zachowało się natomiast sporo zabytkowych płyt nagrobnych z okresu holenderskiego (daty na nich to plus minus 1680 rok). Po Holendrach przyszli Anglicy i w związku z tym kościół do dziś obsługuje protestantów. Katolicka katedra (Bazylika Santa Cruz) znajduje się nieco dalej, ale wciąż na terenie starówki i przypomina te wszystkie neogotyckie (czy w inny sposób bombastyczne) "Notre-Damy", których w Kerali jest mnóstwo.

Tuż obok kościoła św. Franciszka zachował się dawny pałac gubernatora (obecnie hotel Le Colonial), w którym zatrzymywał się św. Franciszek Ksawery zanim jeszcze został świętym.

Mattancherry Palace (Dutch Palace) - wbrew potocznej nazwie, nie "holenderski", ale portugalski - umieszczony na "liście oczekujących" UNESCO przede wszystkim z uwagi na ciekawe, dobrze zachowane murale przedstawiające sceny mitologiczne. Interesująca jest też ekspozycja palankinów i sodeł na słonie (jest na to specjalistyczne słowo *howdah*) używanych przez lokalnych władców. Zbudowany jako

prezent dla królów Cochin ok. 1545 roku, w ramach podziękowania za przyjazne przyjęcie Vasco da Gamy oraz przeprosin za splądrowanie znajdującej się nieopodal świątyni. Wielka przyjaźń, w wyniku której królestwo Cochin zostało de facto wasalem Portugalii potrwała do 1663 roku, kiedy faktycznie Portugalczyków wygonili Holendrzy. Potem na krótko teren trafił w ręce islamskiego królestwa Mysore, aby ostatecznie przypaść brytyjskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej.

Przed pałacem znajduje się hinduistyczna świątynia - niestety zamknięta, ale daje pewne pojęcie o specyfice tutejszej architektury sakralnej. Wiele świątyń składa się z przykrytego dachem okrągłego miejsca kultu oraz otaczającego go dziedzińca z "odaszkowanym" murem. Prowadzące do środka bramy to nie znane nam już *gopuramy* z setkami bóstw, a proste konstrukcje kryte drewnianym gontem lub dachówką.

Synagoga *Paradesi* (XVI wiek) i przyległa do niej dzielnica żydowska, służyły początkowo głównie miejscowym Żydom Malabarskim mieszkającym w Indiach, przynajmniej według własnych opowieści, od czasów króla Salomona (a w lepiej udokumentowanej wersji, od rzymskiej "wojny żydowskiej" 66-73 r. n.e.). To właśnie w ich poszukiwaniu wybrał się do Indii apostoł Tomasz (który, jak pamiętamy, zakończył życie w Chennai). Inaczej niż w wielu innych miejscach, Żydzi z Kerali nie byli prześladowani, powodziło im się dobrze, a wręcz otrzymywali różne intratne nadania od miejscowych królów. Na początku XVI wieku dołączyła do nich grupa Sefardyjczyków uciekających przed prześladowaniami na półwyspie Iberyjskim. Aż wreszcie przybyli Portugalczycy ze swoim własnym Gestapo (Inkwizycją) i zrobiło się trochę mniej przyjemnie. Potem, w czasach holenderskich i angielskich nikt już Żydów nie uciskał - w szczytowym okresie społeczność żydowska liczyła dwa tysiące rodzin. Dziś tylko dwie, więc do kworum do Kadiszu potrzebni są turyści odpowiedniego wyznania. Synagoga robi duże wrażenie, zwłaszcza oryginalne, ręcznie malowane chińskie płytki podłogowe z XVIII wieku i żyrandol ze szkła z Murano.

Dawna dzielnica żydowska to obecnie deptak handlowy, ze sklepikami handlującymi rękodziełem wszelakim, przyprawami, kadzidelkami, a także perfumami.

Interesująca była wizyta w muzeum folklorystycznym (*Kerala Folklore Museum*), gromadzącym eksponaty z południa Indii. Już sama architektura budynku zwracała uwagę - każde z pięter w innym stylu, odpowiadającym trzem historycznym królestwom tworzącym obecny stan Kerala (Malabar, Kochi, Travancore). Całkowicie prywatne muzeum założone zostało w roku 2009 przez kolekcjonera i handlarza antyków - co trochę tłumaczy to, że sporą część ekspozycji można po prostu... kupić. Tak: oryginały, nie żadne kopie czy reprodukcje. Ceny oczywiście proporcjonalnie wysokie, ale i tak dość szokujące podejście. Choć być może i racjonalne: tysiące eksponatów stłoczone na niedużej w sumie powierzchni i tak robią wrażenie wystawy sklepowej raczej niż muzealnej.

Ostatniego dnia w Kerali wybraliśmy się do położonego w nowej części miasta *Hill Palace Museum*. Rodzinie królewskiej nie w smak było mieszkać w pałacu-prezencji, zbudowanym przez kolonizatorów, niedaleko rezydencji Europejczyków, więc (już w czasach brytyjskich) przenieśli się pod miasto. Ostatni maharadża z dynastii Varma abdykował po zjednoczeniu Indii w 1949, ale do roku 1971 otrzymywał wynagrodzenie z państwowej kasy. Później zajął się... hurtowym handlem przyprawami (zmarł w roku 1991). System dziedziczenia w rodzinie królewskiej był dosyć skomplikowany - otóż kolejnym maharadżą zostawał nie oczywisty dla Europejczyków następca tronu, czyli najstarszy syn władcy, tylko jego siostrzeniec - najstarszy syn najstarszej siostry (system matrylinearny). Z imionami dzieci mieli też uproszczone - były ustalone dla pierwszej trójki chłopców i dziewczynek, a jak się przydarzyło więcej, to kolejka zakręcała i zaczynali od początku.

W 1905 roku pałac stał się miejscem słynnego (a może raczej niesławnego) procesu o cudzołóstwo przeciwko pochodzącej z wysokiej kasty kobiecie zwanej Kuriyedathu Thatri. Dwudziestoletnia oskarżona - jak wykazano w procesie, molestowana seksualnie od dzieciństwa - w

wieku ok. 12 lat została wydana za mąż za sześćdziesięciolatka. Mąż traktował ją źle i notorycznie zdradzał, a kiedy próbowała protestować, ostatecznie porzucił. Pozostawiona bez środków do życia kobieta zmuszona była zacząć karierę kurtyzany; dzięki swojej wielkiej urodzie miała wielu adoratorów, również wśród szanowanych artystów, przywódców religijnych czy kręgów zbliżonych do dworu. Po kilku latach niespodziewanie pojawił się mąż, który zorientowawszy się, co się święci (pani była bardzo dyskretna i organizowała schadzki za pośrednictwem służącej) oskarżył żonę o złe prowadzenie. Sama procedura religijno-sądowa (*smarthavicharam*) stawiała oskarżoną przed sądem złożonym z braminów, którzy po przeprowadzeniu dochodzenia (z użyciem tortur) wydawali wyrok. Jeśli kobieta była uznana za winną, zarówno ona, jak wszyscy jej udowodnieni kochankowie byli wydaleni z kasty. Na miasto padł blady strach, kiedy Kuriyedathu Thatri zaczęła "sypać" - od członków własnej rodziny, który molestowali ją od dziecka, przez kolejnych kochanków. Jeśli któryś się wypierał, potrafiła z dużą dokładnością wskazać znaki szczególne. Po pół roku lista nazwisk zawierała już 64 mężczyzn w wieku od lat 14 do 85, w tym znanych muzyków, aktorów, uczonych, a nawet braci dwóch sędziów. Zanim oskarżona rzuciła największą "bombę" - że 65 kochankiem był sam król, a na dowód miała pierścień - król (Rama Varma XV) błyskawicznie kazał zakończyć proces. Po (przegranym, a jakże) procesie, kobieta wyjechała z miasta; są plotki, że przeszła na chrześcijaństwo i wyszła ponownie za mąż. Ale nikt więcej nie próbował w Cochin urządzać takich sądów.

Pałac, jak sama nazwa wskazuje, położony jest na wzgórzu, prowadzą do niego schody poprzez tarasowy ogród. Ogród zaniedbany, w fontannach nie ma wody, ale ślady dawnej świetności wciąż widoczne. W pałacu ekspozycja różnych przedmiotów związanych z jego dawniejszą funkcją, i trochę plansz objaśniających historię byłych właścicieli. Główną atrakcją skarbcza (oprócz dość żenujących eksponatów typu zupełnie zwyczajne zegarki czy pierścionki) jest złota, wysadzana brylantami korona sprezentowana miejscowemu władcy na początku XVI wieku przez portugalskiego króla Manuela I. Podobno obdarowany korony nie nosił, bo była za ciężka (sprawdziliśmy - niecałe 1,8 kilograma; ale może chodziło o to, że niedopasowana na rozmiar?), tylko kładł ją sobie na kolana gdy wykonywał czynności reprezentacyjne.

Ostatniego wieczoru wybraliśmy się na zakupy do centrum handlowego (*LuLu Shopping Mall*), jednego z większych w Kerali. Oprócz ulubionego sklepu Doroty (Marks & Spencer) i supermarketu odwiedziliśmy też restaurację Paragon, zajmującą dumne piąte miejsce na liście "150 Most Legendary Restaurants in the World" (150 najbardziej legendarnych restauracji świata) opublikowanej ostatnio przez portal tasteatlas.com.